

Lustitia się prostytuuje

Teraz partii nie ma, myszy harczą, gdy kota nie czują, więc i sędziom najwyraźniej musiała uderzyć do głowy woda sodowa – że nie zależą już od nikogo, ani od niczego.

Już nie tylko Trybunał Konstytucyjny znajduje się na pierwszej linii frontu walki o demokrację i praworządność, jaką w naszym nieszczęśliwym kraju rozpętały Wojskowe Służby Informacyjne, których, jak wiadomo, „nie ma”, no ale agentura przecież została i w dodatku doskonale zdaje sobie sprawę, że pozycja społeczna, jaką taki jeden z drugim konfident osiągnął, zależy przecież od przetrwania fundamentu, na którym cała konstrukcja organizacji przestępczej o charakterze zbrojnym się opiera. Toteż kwitnie świadoma dyscyplina, w ramach której kolejne środowiska społeczne otwierają kolejne odcinki frontu – a wszystko nieuchronnie zmierza do swego przeznaczenia, którym może okazać się zewnętrzna interwencja, podjęta w myśl ustanowionej w traktacie lizbońskim „*klauzuli solidarności*”. W tej sytuacji zdarzyło się to, co zdarzyć się musiało. Sąd Najwyższy, który w swoim składzie toleruje sędziów doradzających swoim klientom, jak mają napisać kasację, żeby „chwycić”, podjął uchwałę zalecającą pozostałym sądom respektowanie orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego nawet jeśli nie zostały one opublikowane. Jestem pewien, że nie jest to ostatnie słowo Najwyższej Jurysprudencji i jeśli taka będzie wola oficerów prowadzących, to usłyszymy, iż sądy mają respektować nawet takie orzeczenia TK, które nawet jeszcze nie zostały wydane.

Zgadzałoby się to z formułą wylansowaną przez „*Jurka Owsiaka*”: „*róbta co chceta!*” Co prawda „*Jurek Owsiak*” zachęcał w ten sposób młodych ludzi, żeby nie krępowali się konwenansami, ale zgodnie z prawem Kopernika-Greshama, że pieniądz gorszy wypiera pieniądz lepszy, zdrowe myśli spod strzech, spod blokowisk i dyskotek, musiały trafić również do sędziowskich gabinetów w Sądzie Najwyższym. Czy pasem transmisyjnym byli wspomniani oficerowie, czy też jakieś „*elementy socjalnie bliskie*” – to nieistotne. Istotne jest, że Sąd Najwyższy przeszedł do porządku nad anachroniczną zasadą, iż sądy „*podlegają ustawom*”. Gdyby rządziła polityczna ekspozytura Stronnictwa Pruskiego, to może by i „*podlegały*”, chociaż nie tyle może „*ustawom*”, co niewysłowionym pragnieniom premiera Tuska – co w niedościgniony sposób pokazał sędzia Ryszard Milewski z Gdańska – przesunięty do Białymstoku – no ale teraz ustawy uchwała większość, z którą oficerowie prowadzący prowadzą wojnę – więc i Władza Sądownicza pokazała Władzy Ustawodawczej gest Kozakiewicza.

Na tym tle widać, że za komuny było jeśli nawet nie lepiej, to w każdym razie inaczej; stopień upartyjnienia w wymiarze sprawiedliwości nie był co prawda taki, jak w SB, MO, czy niezwyciężonej armii, ale też nie mały, więc nad niezawisłymi sędziami wisiał miecz Damoklesa w postaci partii. Czyż nie dlatego właśnie prezes Sądu Wojewódzkiego w Gdańsku, którego w roku 1970 pytałem o możliwość odbycia pozaetatowej aplikacji zadał mi jedno jedyne pytanie – czy należę do partii, a gdy powiedziałem mu, że nie, popatrzył na mnie, jak na idiotę i w jednej chwili zrozumiałem, że nic tu po mnie.

Teraz partii nie ma, myszy harczą, gdy kota nie czują, więc i sędziom najwyraźniej musiała uderzyć do głowy woda sodowa – że nie zależą już od nikogo, ani od niczego. Taka postawa wywołała pełną oburzenia reakcję przedstawicielki Władzy Ustawodawczej w osobie Beaty Mazurek, rzeczniczki Prawa i Sprawiedliwości, która komentując uchwałę SN powiedziała, że zebrał się tam „*zespół koleśi*”, broniących „*status quo poprzedniej władzy*”. Na to zerwali się jak oparzeni członkowie aż czterech organizacji sędziowskich (ciekawe, czym te organizacje różnią się między sobą stowarzyszenia Lustitia, Themis, a zwłaszcza – Stowarzyszenie Sędziów Rodzinnych w Polsce i Sędziów Rodzinnych Pro Familia? Gdybym był złośliwy, to bym powiedział, że podległością wobec różnych ubeckich dynastii, ale ponieważ – po pierwsze – mam pogodne usposobienie, a po drugie – ktoś takie rzeczy może wiedzieć na pewno – więc nic nie powiem), domagając się konsekwencji za podrywanie autorytetu władzy sądowniczej. Tymczasem obawiam się, że pani Mazurek po prostu wyciągnęła wnioski z sytuacji, jaka zapanowała po wyborze „*nadliczbowych*” sędziów do TK w czerwcu ubiegłego roku.

Tacy sędziowie, to przecież tędzy prawnicy, kuci na cztery nogi, więc przypuszczenie, że nie wiedzieli, w jakim celu i z jakim naruszeniem prawa zostali wybrani, byłoby rażąco niegrzeczne. Skoro zatem wiedzieli i zgodzili się na ten wybór, to znaczy, że nad wszystkimi tymi przekrętami przeszli do porządku dziennego. Czy w takim razie spełniali ustawowy warunek, który prawo o ustroju sądów powszechnych stawia każdemu sędziemu – a sędziowie TK są przecież sędziami – że muszą „*dawać rękojmię*” należytego wykonywania obowiązków sędziego? Jasne, że nie spełniają – ale nie przypominam sobie, by chociaż jedna ze wspomnianych czterech organizacji sędziowskich

zaprotestowała równie energicznie przeciwko ich obecności w składzie TK, podobnie jak nie potępiła prezesa Rzeplińskiego za tolerowanie, a nawet czynne uczestnictwo w prostytuowaniu Trybunału Konstytucyjnego. Skoro zaś tak, to środowisko sędziowskie utraciło puszek niewinności, a w takim razie może spierać się z panią Mazurek już tylko o różnicę łajdactwa. Tak nawiasem mówiąc, nad tymi ubekami musi ciążyć jakieś przekleństwo, podobne do ciężącego nad królem Midasem, chociaż przy podobieństwach są też i różnice. W przypadku króla Midasa chodziło o to, że wszystko, czego się dotknął zamieniało się w złoto, a w przypadku ubeków - w gówno. Że też dla potrzeb II wojny o inwestyturę ci ubecy musieli upodobać sobie akurat wymiar sprawiedliwości w charakterze mięsa armatniego!

Ale nie tylko iustitia została zmobilizowana. Również trzech byłych prezydentów, za którymi ciągnie się smród podejrzeń o agenturalność, wystosowało list wspierający między innymi Komitet Obrony Demokracji i zaangażowanie zagranicy w II wojnę o inwestyturę w Polsce, pod którym podpisali się też inni konfidenci, jak „Must”, czyli dr Andrzej Olechowski, czy „Carex” czyli Włodzimierz Cimoszewicz oraz kilka postaci drobniejszego płazu, tak zwanych „legendarnych”. Największym obrzydzeniem napawa mnie podpis Aleksandra Kwaśniewskiego, który jeszcze nie wyjaśnił swego udziału w zorganizowaniu tajnych więzień CIA w Starych Kiejkutach, ani nawet - ile napiwku za to dostał, gdzie schował szmalec i czy zapłacił od tego podatek. No ale czy jakiś przyzwoity człowiek mógłby podpisać się pod takim donosem? Nie da się ukryć; słusznie ludzie mówią, że jawnogrzesznictwo to nie zawód, tylko charakter.

Na tym tle jasnym światłem rozbłyska pozytywna wiadomość o wyeksportowaniu na Ukrainę pana prof. Leszka Balcerowicza w charakterze członka rządu niedawno sformowanego przez premiera Włodzimierza Hrojsmana. Niektórzy powiadają, że to forma polskiej zemsty za UPA i ludobójstwo na Wołyniu, chociaż pojawiają się też głosy, że prof. Balcerowicz nie będzie miał specjalnego wpływu na działalność ukraińskiego rządu, zaś prezydent Poroszenko wynajął go na swego delegata w charakterze listka figowego. Ciekawe co będzie, jak ukraińska opinia publiczna spenetruje prawdę - bo nie ma większego rozczarowania nad to, gdy po uchyleniu listka figowego zobaczy się figę. Żeby tylko panu Balcerowiczowi nie stała się w związku z tym jakaś krzywda - bo przecież na świecie jest jeszcze tyle państw, które mogłyby uszczęśliwić.

Stanisław Michalkiewicz

Autor: swistak

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl